

CZARNY RYCERZ (Bajki nie tylko dla dzieci)

Ks. Mieczysław Maliński

CZARNY RYCERZ

Przed wielu, wielu laty na zamku Kynast mieszkała piękna księżniczka ze swymi rodzicami. Dziwna to była dziewczyna. Rzadko widywano ją w niewieścich szatach. Najchętniej wkładała na siebie strój myśliwski, dosiadała konia i otoczona zgrają psów wyruszała na polowanie. Towarzyszyli jej bracia i rycerze. Rycerze ściągali na zamek z całego świata, bo księżniczka była bardzo ładna. Zostawali w gościnie u księcia, brali udział w myśliwskich wyprawach, walczyli na turniejach, jedli, pili, śpiewali i wodzili zakochanymi oczami za piękną księżniczką. Na koniec przychodzili do starego księcia, by prosić go o rękę jego córki. On stary już był i wraz z żoną o niczym bardziej nie marzył jak o tym, by ich córka wreszcie kogoś pojęła za męża. Ale zawsze to samo mówił:

- My się z serca zgadzamy, ale nie wiemy, czy ona się na to zgodzi.

A gdy księżniczkę proszono o zgodę, odpowiadała niezmiennie:

- Dobrze, będę twoją żoną, ale stawiam jeden warunek: ten, kto chce być moim mężem, musi w pełnej zbroi, na bojowym koniu objechać mury obronne zamku po ich szczycie. Bo – jak dodawała – mój mąż musi być bardzo dzielny.

A mury były bardzo niebezpieczne z powodu jednego jedyne miejsca, gdzie załamywały się pod kątem prostym. Nie mogły biec inaczej, ponieważ skała, na której stał zamek, w tym miejscu była przecięta jakby toporem, stąd i mury musiały cofnąć się w głąb. W tym miejscu koń z jeźdźcem nie był w stanie zakręcić, by iść dalej, ale tracił równowagę i wpadał wprost w przepaść. A księżniczka spokojnie patrzyła ze swojego okna, które właśnie wychodziło na ten załom murów, jak kolejny kandydat na jej męża ginął wraz ze swoim koniem.

Tak upłynęło parę lat. I wciąż nie zdarzyło się, aby któryś z rycerzy proszących o jej rękę usłyszał inny warunek niż ten. I wciąż byli tacy, którzy, słysząc to żądanie, odchodzili z załem, ale też zdarzali się śmiałkowie, którzy próbowali sforsować niebezpieczny załom murów i przyplacali ten czyn śmiercią. A księżniczka wciąż urządzała huczne zabawy, polowania, śpiewała, tańczyła, grała i śmiała się z tych, którzy nie potrafili zdobyć jej ręki.

Aż razu pewnego przyjechał na zamek nieznany rycerz. Ktoś go nazwał czarnym rycerzem, bo nosił czarny ubiór. Książę wydał na jego cześć wielką ucztę, na którą zaprosił również i księżniczkę. Przyszła jak zwykle niechętnie. Nie takie uczyty lubiła. Zajęła swoje miejsce, po lewej stronie przybysza, nawet nie obdarzając go spojrzeniem. Była cała pogrążona w swoich myślach, gdy nagle usłyszała piękny głos gościa, który się do niej zwracał. Podniosła oczy i zamarła z wrażenia. Takiego człowieka nigdy jeszcze dotąd nie widziała. Natychmiast opuściła powieki, by nie dać poznać po sobie zmieszania, jakie ją opanowało. Nawet trudno było jej zrozumieć, co na niej takie wrażenie uczyniło. Czy mądre oczy, czy dobry uśmiech, czy spokój, który promieniował z całej postaci. Ale wiedziała jedno: „To jest ten”. Mówiła sobie w głębi duszy: „Na ciebie czekałam. Z tobą mogłabym iść na koniec świata. Dla ciebie mogę zrobić wszystko, co zechcesz”. – Pozostawał tylko cień niepokoju, czy on ją pragnie mieć za żonę.

Przy stole toczyły się głośne rozmowy, od czasu do czasu wybuchały śmiechy. Z drugiego końca sali dobiegała muzyka, żartownisie popisywali się swoimi sztuczkami, a ona tak trwała jak urzeczona. Nawet nie bardzo wiedziała, o czym rozmawia ze swoim sąsiadem. Oczy miała spuszczone. Czasem tylko odważała się spojrzeć na swojego towarzysza, i to zaledwie na chwilę, bo bała się, by nie stracić zupełnie przytomności ze szczęścia, jakie ją przepelniało. Cała wieczerza była dla niej najpiękniejszym snem, w który wciąż nie śmiała wierzyć. Niestety, zbliżał się koniec tej radości. Służba porządkowała stoły. Ucichła muzyka. Trzeba było wstawać. Odchodziła z ciężkim sercem, w obawie, że to najcudowniejsze, które przeżyła, może się już nie powtórzyć. Poszła do swojej komnaty i wtedy, gdy na wpół przytomna zdejmowała uroczyste odzienie, wszedł ojciec. Jego pogodne oblicze powiedział jej wszystko. Zrozumiała, że ojciec musiał obserwować ją w czasie uczyty, wyczuł, co się w niej dzieje, a teraz przynosi jej ważne wiadomości. Ale czekała na słowa. Zamarła. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe.

- Czy wiesz, z jaką sprawą przyjechał ten rycerz? – zapytał ojciec.

Poczuła, że cała krew spłynęła jej z twarzy, że ledwo stoi na nogach, że jeszcze chwila a upadnie. Z trudem zdołała wyjąkać pytanie:

- Z jaką?

Myślała, że nigdy nie doczeka się odpowiedzi. Aż wreszcie doszło do niej:

- Przybył, aby objechać na koniu nasze mury.

W pierwszej chwili zdawało się jej, że umiera ze szczęścia. Wsparła się ciężko o ścianę. A potem przyszła na nią fala takiej radości, iż myślała, że oszaleje. Rzuciła się ojcu na szyję. Całowała go i ścisłała:

- On będzie moim mężem! On będzie moim mężem! – powtarzała bez przerwy.

Gdy ojciec wreszcie wyrwał się z jej uścisków, cały rozpromieniony – choć udawał oburzenie, że córka jest taka nieopanowana – powiedział:

- Ja tego nie mówiłem. On oświadczył tylko, że chce objechać nasze mury.

- Ale to znaczy to samo! Ale to znaczy to samo! – śpiewała, tańcząc wokół niego.

Była pewna. Nagle przerwała taniec. Uśmiech zgasł na jej twarzy. Uświadomiła sobie, jakie zagrożenie wisi nad jej szczęściem. Rzuciła się powtórnie ojcu na szyję, mówiąc:

- A teraz idź, idź do niego i wytłumacz mu, że on nie potrzebuje wcale objeżdzać murów, że niech tego nie robi, że niech się nie waży, bo zginie, a on nie może zginąć. Idź, powiedz mu, że ja się zgadzam bez tego warunku. Mogę dzisiaj, albo jutro, albo kiedykolwiek on tylko zechce, być jego żoną.

Stary książę zaczął tłumaczyć:

- Jak ja mogę mu to powiedzieć...

- Idź, idź. Musisz iść. Bo jak nie, to ja pójdę, rzucę mu się do stóp, żeby go błagać, by tego nie robił.

Ojciec odszedł, a ona czekała na niego aż do północy. Zdawało się jej, że się nigdy nie doczeka powrotu ojca, że to czekanie trwa już całe wieki, że godziny się wloką w nieskończoność, że zegar zepsuł się i dlatego nie bije. Wreszcie, gdy książę wszedł, zobaczyła, że nic nie zdołał uzyskać.

- Nic nie pomogło – powiedział zatroskany. – Rycerz ślubował, że objedzie mury na koniu, i od tego ślubu nie odstąpi.

Po chwili milczenia dodał:

- Dałem mu do zrozumienia, że ty od niego nie żądasz spełnienia tego warunku. Tak jak tego chciałaś. Powiedziałem, jak można było najwyraźniej. Ale on się na to nie zgodził i gdybyś nawet ty poszła, to i tak nic nie uzyskasz. Jutro skoro świt wyjeżdża na mury.

Myślała, że umrze z rozpacz. Była zupełnie bezradna. Klęczała całą noc. Klęczała i modliła się. Aby nie spadł, aby objechał mury szczęśliwie. Aby pierwszy raz stał się ten cud.

Wreszcie świt zaczął bielić ściany komnaty. Czas próby nadszedł. Usłyszała fanfary oznajmujące wejście rycerza z koniem na mury. Nie wstała z klęczek. Nie podeszła do okna. Nie chciała nic widzieć. Zamknęła oczy, splotła ręce aż do bólu i czekała. Na cud.

W ciszy usłyszała dalekie stąpanie konia. Stuk narastał. Był coraz bliższy. Zdawało się jej, że wypełnia jej całą głowę. To powinno być już, tuż, zaraz, za moment, w tej chwili. Teraz. Kopyta przestały dźwięczeć. Na pewno stanął teraz nad załamaniem muru. Cała napięta do granic możliwości czekała na huk spadającego po murach rycerza i kwik konia. Chwila ciągnęła się w nieskończoność. Nagle usłyszała stuk kopyt końskich idący dalej po murze. A więc udało się. Pierwszy raz. Cud się stał. Krzyknęła jak oszalała. Wybiegła z komnaty, pędziła przez korytarze, zbiegała po schodach, przebiegała wąskie krużganki, przejścia, rycerzowi naprzeciw, aby go przywitać, rzucić mu się na szyję, jemu – najpiękniejszemu, najmądrzejszemu, najdzielniejszemu, jedynemu. Cała zdyszana wypadła z bramy właśnie wtedy, gdy on zjeżdżał z murów w tłum ludzi na niego czekający. Patrzyła jak urzeczona na czapki lecące w górę. Dobiegł do niej huk wystrzałów na wiwał, krzyki, śmiechy, pieśni. Czekala. Aż podjedzie pod schody, zejdzie z konia i poprosi o jej rękę. Patrzyła, jak lekko nachylony, poklepując kark konia, jedzie przez zgromadzone tłumy, gdy nagle spostrzegła z niepokojem, że on zamiast w jej stronę coraz wyraźniej kieruje konia w stronę bramy wyjazdowej. Najpierw dalekie przeczucie, potem niepokój, potem strach, na koniec już pewność – to było wtedy, gdy on zdjął z głowy kołpak, uklonił się w jej kierunku, podciął konia i zaczął wyjeżdżać z zamku. Taki jej obraz został w oczach w ostatnim momencie, gdy osunęła się zemdlna na ziemię.

Potem była ciężko chora. Miała wysoką gorączkę. Zrywała się. Chciała gdzieś iść. Wołała nieprzytomna rycerza, by zawrócił, by nie odchodził. Wszystkim zdawało się, że umrze. Żadne lekarstwa nie skutkowały. Ale w końcu jej silny organizm przetrzymał napór choroby. Powoli wracała do zdrowia. Była bardzo słaba. Zgodnie z zaleceniami lekarzy pozostawała sama w ciszy. Dużo myślała o ostatnim wydarzeniu i o tajemniczym rycerzu. – „Dlaczego tak zrobiłeś? Dlaczego? – pytała go w myślach. – Czy ty wiesz o tym, że ja cię kocham? I nigdy cię kochać nie przestanę. Tylko czy cię jeszcze kiedyś zobaczę?”

Postanowiła go znaleźć. Wiedziała, że nie potrafi żyć bez niego. Gdy przychodziły na nią chwile refleksji, zapytywała sama siebie: „Co ja mu powiem, gdy go znajdę?” Ale w gruncie rzeczy to nie było ważne. Najważniejsze było: jak go znaleźć. Zapytała ojca o niego. Okazało się, że ojciec nic o nim nie wie. Nie znała go też matka ani rycerze na zamku.

- No to dlaczego go przyjąłeś? – zapytywała ze zdumieniem ojca. – Dlaczego wyprawieś dla niego takie przyjęcie?

- Po prostu zdawało mi się, że to jest ktoś bardzo znaczny.

- Dobrze – odpowiadała – ale że ty go nie zapytałeś o imię i o dom rodzinny.

Przyszedł dzień, kiedy zaczęła chodzić po komnacie. Potem pierwszy spacer na świeżym powietrzu, wreszcie zdobyła się na to, by dosiąść konia. Aż gdy uznała, że jest w pełni sprawna, spakowała najpotrzebniejsze rzeczy, wzięła ze sobą parę sług, pożegnała rodziców i braci, i w przebraniu męskim wyruszyła w drogę.

Odwiedzała wspaniałe zamki. Jeździła po wielkich turniejach, gdzie potykali się na kopie najdzielniejsi rycerze, wypatrywała go pomiędzy najodważniejszymi. Uczestniczyła w największych uroczystościach, jakie obchodziły miasta, zamki i pałace – nie było go nigdzie. Czasami zdawało się jej, że to wszystko było snem, że to nieprawda, że takiego człowieka nigdy nie spotkała, że go po prostu w ogóle nie ma. Powoli traciła nadzieję, by go mogła jeszcze kiedykolwiek zobaczyć. Po raz pierwszy w życiu nie osiągnęła tego, co zamierzała, czego tak bardzo pragnęła. Wreszcie zrezygnowała. Odesłała służbę. Chciała być sama. Nie wiedziała właściwie, co ma dalej robić. Trzeba było wracać do domu. Ale po co? Bawić się, tańczyć, śpiewać, polować? Myślała o tym wszystkim z obrzydzeniem. Życie dla niej straciło sens. Czasem była wściekła na siebie, że dała się ogarnąć tej miłości, ale czy mogła coś na to poradzić?

Zdarzyło się raz pewnego, w któryś dzień samotnej jazdy – powracania do domu – że zbłądziła. Wieczór zapadał szybko, w lesie było coraz bardziej mroczno, a tymczasem wciąż nie było osady, do której zdążała, gdzie miała przenocować. Nie bała się. Tylko była po prostu zmęczona. Początkowo chciała przespać się gdzieś w lesie, ale zaczął padać deszcz coraz gęściejszy, na dodatek stało się nieszczęście: w ciemności koń wpadł w jakiś wykrot i okulał. Musiała z niego zsiąść. Trzymała go za uzdę i powoli brnęła przez wodę i błoto. Powieki jej się same zamykały. Przylepiona do konia stawiła nogi po omacku. Godziny się wlokły – nie było końca ani lasu, ani

deszczu, ani nocy. Już tylko marzyła, aby choć na moment położyć się i zasnąć. Nagle koń stanął, zarżał. Oprzytomniała, chwyciła za miecz. Poczuli, że wyszli z lasu i znajdują się na wolnej przestrzeni. Rozglądając się, dojrzała dalekie światelko. To było chyba światło padające z okna domu. Podeszła bliżej. Ujrzała ciemny zarys wielkiego domostwa. Zostawiła konia pod dachem i weszła do wnętrza. W izbie panował półmrok, tylko na kominku palił się nikły płomień. Obok siedział stary, siwy człowiek. Błyski ognia oświetlały jego postać.

- Kto ty jesteś? – usłyszała pytanie.

- Zbłądziłem w lesie. Koń mi okulał.

- Skąd jesteś?

Nie chciała tego ujawnić. Bała się, żeby nie wyszło na jaw, że jest dziewczyną. Wyminęła to pytanie. Wiedziała jednak, że musi zdobyć zaufanie. Zaczęła więc podawać nazwy zamków, kaszteli, dworów zamieszkałych przez zaprzyjaźnione z jej rodziną rody. Wymieniła imiona znanych w całym kraju ludzi. Opowiadała o spotkaniach z nimi, wciąż jednak pilnie bacząc, by nie zdradzić swojego pochodzenia. Czuła, że to wszystko przełamuje początkowy chłód starego człowieka. Wreszcie usłyszała to, czego oczekiwała:

- Możesz tu zostać na noc. Ja jeszcze posiedzę przy żonie. Rozgość się w tamtej izbie. – Wskazał jej ręką kierunek. – Moja żona jest chora – dorzucił.

Zobaczyła w głębi łóżko, na nim leżącą kobietę.

Następnego dnia już nie padało, ale jechać nie mogła. Koń miał nogę zranioną. Trzeba było leczyć i odczekać parę dni. Rozglądnęła się po obejściu. Dom był w dobrym stanie, ale bardzo zaniedbany. Stajnie i stodoły były spalone. „Od pioruna” – jak powiedział gospodarz. Bydło się częściowo spaliło, częściowo rozbiegło. Służba poodchodziła.

Nie pytała o nic więcej. Stwierdziła tylko, że tych dwoje ludzi żyje bardzo biednie, prawie głodują. Denerwował ją trochę smutek starego człowieka, jakaś bezradność, bezwolność. Wieczorami i nocami zostawał długo przy kominku i patrzył w ogień, w ciągu dnia siadywał przed domem i patrzył na drogę, jakby kogoś wypatrywał.

Któregoś wieczoru, grzejąc się przy kominku, chciała przerwać ciężące jej milczenie. Nic nie przychodziło jej do głowy. Wreszcie zaryzykowała opowieść o własnym życiu, uważając przy tym, by nie domyślili się, że to o nią chodzi:

- Była sobie raz księżniczka, która rycerzom starającym się o jej rękę stawiała żądanie, by objechali dookoła zamku po szczycie murów obronnych.

Nie zauważyła, że starzec drgnął. Zatopiona we własnych myślach snuła dalej swoją opowieść. Nagle z zamyślenia wyrwało ją pytanie powiedziane ostrym tonem:

- Skąd to wszystko wiesz?

- Ktoś mi opowiedział – odparła wymijająco.

- Jednym z tych, którzy spadli z murów i zginęli, był mój syn.

Umilkła jak rażona. Zapanowała cisza. Myślała gorączkowo. Teraz dopiero zrozumiała apatię tego człowieka. Ta śmierć była chyba również powodem choroby jego żony.

- Jak on wyglądał? – zapytała po chwili.

- Czemu o to pytasz? Byłeś tam?

- Tak.

Zaczął jej opisywać. Przypomniała sobie tego rycerza. To był bardzo ubogi chłopiec. Nie znała go wcześniej. Pojawił się niespodziewanie na zamku. Pamiętała dobrze biedny strój, który nosił. Pamiętała docinki, wyśmiewanie się innych rycerzy.

- A ty nie objeżdżałeś murów? – usłyszała pytanie.

- Nie. Bo ja nie kochałem tej księżniczki – odpowiedziała.

- Bóg cię ustrzegł od tej okrutnej dziewczyny. Jak ona może żyć, mając na sumieniu tyle śmierci. Jak jej Bóg nie pokarał.

Zamilkli oboje. Siedziała długo w noc przed kominkiem i myślała o całym swoim dotychczasowym życiu. Dopiero teraz ujrzała krzywdę, jaką wyrządziła swoją lekkomyślnością. Dojrzewało w niej postanowienie: „Tu, w tym domu, trzeba zostać. Wnieść do niego życie. Zastąpić tym ludziom syna. To będzie pokuta, którą muszę Bogu złożyć”.

Zabrała się do pracy. Niełatwo to jej szło. Na szczęście był stary rycerz, który wszystko umiał, a teraz, widząc jej zapał, towarzyszył jej. Pracy było dużo, tym bardziej, że szła wiosna. Trzeba było orać, grabić, siać. Przynajmniej tyle, aby starczyło na wyżywienie tych biednych ludzi. Harowała od świtu do nocy. Na roli, przy kamieniarstwie, przy ciesielce, bo trzeba było przecież dachy położyć na spalone stodoły i stajnie. Wieczorem, gdy prawie rąk i nóg nie czuła, siadywała w izbie przy kominku, grała na lutni i śpiewała rycerskie piosenki, których tyle umiała. Opowiadała o turniejach i zabawach rycerskich. Snuła baśnie, legendy i przygody, które

zasłyszała albo które sama przeżyła. Z odcieniem triumfu stwierdziła, że dom się zmienił. Nie tylko matka powróciła do zdrowia, nie tylko ojciec z całą energią pomagał jej i pracował z nią ręką w rękę, ale co najważniejsze, ci starzy ludzie zaczęli się uśmiechać.

Tak w trudzie i mozole płynęły dni, tygodnie i miesiące. Pracowała, jak umiała najlepiej. Była czuła dla tych obojga starych ludzi, jak tylko umiała najbardziej, jak tylko ją było na to stać. Zastępowała im syna, który przez nią zginął.

Nieraz zdarzyło się, że popłakała sobie z tęsknoty za swoim domem rodzinnym, za rodzicami, braćmi, towarzyszami – za zabawami, polowaniami. Patrzyła na swoje ręce spracowane od wideł i rydła, popękane, czarne od ziemi. Czy ktoś jeszcze potrafiłby w niej rozpoznać dawną piękną księżniczkę? – „Co byś ty na to wszystko powiedział, gdybyś mnie tak teraz spotkał, mój ukochany rycerzu?” – myślała.

Kiedys powiedziała staremu rycerzowi:

- Bóg pokarał tę okrutną księżniczkę.
- Jak? – spytał starzec.

Zaczęła opowiadać:

- Razu pewnego przyjechał na zamek rycerz. Powiedział, że chce objechać mury.
- Zauważyła, że w miarę jak opowiadała, rosło zaciekawienie starego człowieka.

Gdy doszła do pożegnalnego ukłonu, przerwał jej:

- Jak on się nazywał? Skąd pochodził?
- Nie wiem. Nikt nie wie.
- A jak wyglądał?
- W czarnym stroju, w czarnej zbroi.
- Ach, to „Czarny Rycerz” – zawołał z radością.
- Słyszałeś o nim? – spytała, nie dowierzając.

- Oczywiście. Słyszałem o nim bardzo wiele. Nagle się pojawia, tak jak pojawił się na tamtym zamku, i niesie pomoc biedakom, sierotom, wdowom, pokrzywdzonym. Ale tu nigdy nie był. Widocznie są inni, którzy bardziej potrzebują pomocy niż my.

Słuchała tego jak najpiękniejszej bajki. Serce tłukło się jej nieprzytomnie.

Powiedziała najspokojniej jak umiała:

- Jak myślisz, czy kiedyś przyjedzie?
- Kto to wie.

Mijały tygodnie. Starzy ludzie traktowali ją jak swojego syna, zżyli się z nią, zwłaszcza, że ich dom był pusty. Nikt tu nie przyjeżdżał w gościnę. Czasem kupcy, czasem posłańcy. Niewiele ją to obchodziło. Tym bardziej, że przyszła jesień – deszczowa, zimna, błotnista. Dni upływały w walce z rzeką, coraz bardziej wzbierającą i grożącą zalaniem pól.

Któregoś dnia wracała do domu straszliwie zmęczona. Ten dzień szczególnie dał się jej we znaki. W strugach deszczu wznosiła uparcie groblę z kamieni, utykała mchem, przemoczona od czubka głowy po same stopy. Była umazana błotem, nie czuła z zimna ani rąk, ani nóg. Szła obok konia, prowadząc go za uzdę. Nie miała serca go dosiąść, bo był tak samo zmęczony jak i ona. Myślała, że się nie dowlecze do domu. Aż wreszcie w ciemnościach zamajaczyły znajome kontury. Wprowadziła konia do stajni, rozkulbaczyła go, odpinając zdrewniałymi palcami popręgi. Potem już nie było jej stać na to, by wejść do swojej zimnej izby i przebrać się. Chciała najpierw ogrzać się przy ogniu kominka i napić czegoś ciepłego. Pchnęła drzwi wejściowe. Oślepił ją blask ognia z kominka. Nagle zorientowała się, że jest ktoś obcy w izbie. Dobiegły ją słowa starego rycerza, z którymi zwracał się do gościa:

- Oto nasz dzielny wybawca. Gdyby nie jego pomoc, umarlibyśmy z głodu i choroby.

Zaskoczyły ją te słowa i zmieszały. – „To o mnie” – pomyślała. Było jej strasznie przykro, że w takim stanie weszła do izby. Nie wiedziała, co zrobić. Patrzyła, jak rośnie przy jej stopach kałuża wody, która ścieka z jej zabłoconej odzieży. Postanowiła po prostu wyjść, przeprosić, podniosła oczy i wtedy wzrokiem przyzwyczajonym już do światła poznała go. To był on – „Czarny Rycerz”. Jej najukochańszy, jedyny, wytęskniony, wymarzony w snach, którego jeszcze raz kiedyś w życiu pragnęła spotkać. Nie była w stanie oczu od niego oderwać, patrzyła jak urzeczona. On jej wciąż nie poznawał, jakżeby zresztą mógł ją poznać. Dwoje starych ludzi wciąż do niego coś mówiło, ale ona tego nie słyszała, nic do niej nie dochodziło, była wpatrzona w jego oczy, które na nią ciekawie spoglądały. Nagle wszystko zaczęło wirować jej przed oczami. Poczuła, że słabnie. Nie chciała zemdleć. Bała się, że wtedy się wyda, kim jest. Przyłgnęła do ściany, wparła się nogami w podłogę. Powtarzała sobie: „Byle nie zemdleć”. Ale i tak zaczęły jej łzy płynąć po policzkach, nogi słabnąć. Poczuła, że plecami ześlizguje się po chropowatej ścianie, kolana jej miękną i za moment runie na ziemię. Nagle ujrzała,

jak jej rycerz zerwał się z ławy i w paru susach był przy niej. Uchwycił ją w ramiona, nachylił się nad jej twarzą i wtedy w jego oczach zobaczyła całe morze zdumienia, zaskoczenia i radości. Zemdląca.

Ks. Mieczysław Maliński

<http://www.malinski.pl>